Rozmaitości

DNIA 18. STYCZNIA Ner 3. 1834 ROKU.

MARGRABINA.

(Przekład wolny z dz. *Revue de Paris.*)

(Ciąg dalszy.)

»Jednego wieczora, wychodząc z teatru ukrytym gankiem, ujrzałam przechodzącego po przede mnie z wielką szybkością małego, chudego mężczyznę ku ulicy. Jeden ze sług teatralnych, zdjąwszy przed nim kapelusz, rzekł: »Dobry wieczór, panie Lelio.« Zdjęta ciekawością widzenia z blizka tego nadzwyczajnego człowieka natychmiast puściłam się w ślad za nim i przeszedłszy ulicę, nie troszcząc się o grożące mi niebezpieczeństwo, weszłam za nim do kawiarni. Na moje szczęście kawiarnia ta była z rzędu podléjszych, gdzie nikogo z moich znajomych nie mogłam zastać. Przy słabém świetle, rzuciwszy okiem na Leli*a*, zdawało mi się, żem się omyliła i za kim innym poszła. Miał przynajmniéj lat 35, był z-żółkły, zwiędły i styrany; był źle ubrany, miał minę pospolitą, głos słaby i chrapliwy, pił wódkę i klął okropnie. Nie mogłam wierzyć, żebyto był ten sam bóg teatru i tłumacz wielkiego Corneilla, pókim się o tém nie przekonała, usłyszawszy po kilkakroć powtarzane imię jego. Nie znalazłam w nim żadnego z owych wdzięków, któremi mię czarował, nawet w wzroku jego ani téj szlachetności, ani tego ognia, ani téj smętności. Oko jego było posępne, zgasłe, prawie głupie. Wyrazista wymowa jego stawała się nieszlachetną, kiedy ją obracał do chłopców w kawiarni, gdzie mówił o grze, o szynkach i o dziewkach. Chód jego był wątły, kibić niezgrabna, policzki nie dobrze z różu i bielidła otarte. Nie byłto już Hipolit, lecz Lelio. Swiątynia była prożna i uboga, wyrocznia niema, z boga zrobił się człowiek; nawet nie człowiek, lecz prosty komedyjant.«

»On wyszedł, a ja stałam, jak skamieniała, na miéjscu, nie myśląc wcale wypić winną polewkę, którąm sobie podać kazała. Postrzegłszy miéjsce, gdziem się znajdowała, i obrócone wszystkich na mnie oczy, zadrzałam; piérwszy raz w życiu znajdowałam się w tak dwuznacznem położeniu i w prostéj styczności z ludźmi téj klasy; od tego czasu emigracyja przyzwyczaiła mię do tak niestosownych towarzystw. Wstawszy chciałam uciekać, lecz zapomniałam zapłacić. Chłopiec biegł za mną. Okropniem się wstydziła; trzeba się było wrócić, wytłumaczyć się, znosić niedowierzający, szyderczy wzrok wszystkich. Gdym wyszła, zdawało mi się, że ktoś za mną idzie. Nadaremnie szukałam fiakra; nie było ich już przed teatrem. W ślad za mną słyszałam odbrzmiewające ciężkie kroki. Ze drzeniem obróciłam się i ujrzałam za sobą wielkiego mężczyznę, któregom w jednym kącie kawiarni widziała. Przemówił do mnie, lecz nie rozumiałam go, przestrach bowiem odjął mi wszelką przytomność. Po chwili jednak, samą odwagą, której przestrach dodaje, nagle w bohatérkę przeistoczona, uderzyłam go trzciną po łbie, i rzuciwszy ją, abym sama mogła lepiéj uciekać, gdy mój prześladowca, odurzony moją odwagą, stał jak wryty; ja, lekka jak łyskawica, skoczyłam i nie stanęłam, aż w domu szwaczki. Gdym się nazajutrz w południe obudziła w łóżku za firankami i o kapitelach z rzadkich piór, zdawało mi się, że wszystko to widziałam we śnie; wszelako mocnom się martwiła z powodu wczorajszéj przygody; a jeszcze mocniéj, żem się na osobie Leli*a*

)(

tak bardzo zawiedła. Zdawało mi się, żem z nieszczęsnéj miłości zupełnie była uleczona i zaczęłam już była sobie winszować. Lecz nadaremnie. Owszem żałowałam tego; wpadłam na nowo w nudy, wszystek urok zniknął. Tego dnia nie chciałam widzieć hrabiego Larrieux. Nadszedł wieczór, lecz owe dobroczynne wzruszenia nie wróciły, co innych wieczorów. Swiat cały zdawał mi się być świątynią nudów. Poszłam do kościoła, byłam obecną pobożnym rozmyślaniom, chciałam się rzucić na łono pobożności: lecz się zaziębiłam. Powróciwszy do siebie słabą, leżałam przez kilka dni w łóżku. Hrabina de Ferriéres odwiédziła mię i zapewniała, że nié mam gorączki, że mię samo leżenie w łóżku osłabia, żem powinna się rozrywać, wychodzić, bywać w teatrze. Zdaje mi się, że myślała o hrabi Larrieux i chciała mojéj śmierci. Lecz inaczéj rzeczy poszły. Przymusiła mię pójść na trajedyją *Cinna*. »Nie bywasz już w teatrze,« rzekła, »dewocyja i nudy podkopują twoje zdrowie. Dawno już nie widziałaś aktora Lelio; uczynił niejakie postępy; teraz czasem dają mu oklaski; mniemam, że się na znośnego usposobi aktora.«

»Nie wiém jakim sposobem dałam się namówić. Z resztą, gdy na widok osoby Leli*a* spadł z oczu moich wszelki urok, nie mogłam się obawiać dla siebie zguby, stawiąc publicznie czoło zwodniczéj jego sztuce. Zbytnie się ustroiłam, i poszłam do wielkiéj loży naprzeciw saméj sceny, niepomna niebezpieczeństwa, w które już nie wierzyłam. Lecz niebezpieczeństwo nie było nigdy tak blizkie. Lelio był szczytnym i spostrzegłam, żem nigdy bardziéj nie była w nim zakochana. Onegdajsza przygoda snem mi się tylko wydawała; nie mogłam wierzyć, żeby Lelio był inszym, jak się na scenie wydawał. Mimowolnie wpadłam znowu we wszystkie owe straszne wzruszenia, którémi umiał mię przéjmować. Musiałam spłakaną twarz ukrywać w chustką; w roztargnieniu starłam sobie z policzek róż, poodrywała muszki, i hrabina Ferriéres radziła mi usunąć się w głąb loży, ponieważ wzruszenie moje uwagę wszystkich na mnie zwracało. Na szczęście udało się zręczności mojéj wmówić w nię, że rozczulenie moje pochodziło z gry panny Hippolyte Clairon. Byłato, mojém zdaniem, aktorka bardzo zimna i bardzo wymuszona; przez wychowanie i charakter może daleko wyższa nad profesyją teatralną, jak wówczas mówiono, lecz sposób, jakim wygłaszała słowa: *tout beau*, w trajedyi *Cinna*, zjednała jéj u wyższych klas reputacyją. Trzeba atoli przyznać, że gdy z Leli*em* grała, bez porównania sama siebie przewyższała. Lubo jawnie okazywała wzgardę wspólnie z ludźmi tak zwanego dobrego tonu ku jego metodzie, ulegała jednak wpływowi jego jenijuszu wcale tego niespostrzegając, i przyjmowała jego natchnienie, ile razy namiętność stawiła ich na scenie we wzajemnym względem siebie stosunku.«

»Tego wieczora postrzegł mię Lelio, bądź dla mego stroju, bądź dla wzruszenia; widziałam bowiem, jak, będąc za sceną, nachylił się ku jednemu mężczyznie, tuż przy scenie siedzącemu, i pytał się go o moje imię. Poznałam to po ich zwróconym na mnie wzroku. Uczułam wtedy drzenie serca, które mię omal nie zadusiło, i uważałam, że w dalszym ciągu sztuki oczy Leli*a* po kilka razy ku mnie były zwrócone. Cóżbym nie była za to dała, aby się dowiedzieć, co też mu powiadał o mnie de Brétillac, którego się Lelio pytał, a który, patrząc na mnie, po kilkakroć coś mu w ucho szeptał! Postawa, którą Lelio musiał z powagą utrzymywać, aby godności swéj roli nie uchybić, nic nie wyrażała, z czegobym wnosić mogła, co mu de Brétillac o mnie opowiedział. Zresztą, bardzo mało go znałam; nie mogłam więc sądzić, co mógł o mnie złego lub dobrego powiedzieć.«

»Dopiéro od tego wieczora zaczęłam pojmować, coto był za rodzaj miłości, wiążącej mię do Leli*a;* byłato namiętność cale umysłowa, cale romantyczna. Nie jego kochałam, lecz starożytnych bohatérów, których on przedstawiał; owe na zawsze zginione piętna szczérości, poczciwości i tkliwości w nim ożywały, i z nim i przez niego odnosiłam się w epokę niepamiętnych od owych czasów cnót. Dumnie pochlebiałam sobie, że w owych czasach nie byłabym zapoznana i osławiona; że moje serce byłoby odtęt znalazło, że nie musiałabym była kochać się w widmie teatralném. Lelio był dla mnie tylko cieniem Cyda, tylko reprezentantem

miłości starożytnéj i rycérskiéj, z któréj się teraz we Francyi natrząsano. Wcale się go nie lękałam jako człowieka, komedyjanta. Lelio był dla mnie tylko istotą zmyśloną, niknącą dla mnie z pogaszeniem świateł w teatrze. Aby dla mnie był takim, jakim go kochałam, potrzeba mu było złudy scenicznéj, blasku szychowego, ubioru kłamliwego. Zrzuciwszy to wszystko wracał w oczach moich do nicości, jak gwiazda, gasnąca przy świetle słońca. Widziéć go za sceną nie miałam najmniéjszéj chęci; owszem byłabym w największéj rozpaczy, gdybym była go tak widziéć musiała. Byłobyto dla mnie jedno, co widziéć w glinianéj urnie popioły wielkiego człowieka.«

»Często nieobecność moja w godzinach, w których zwykle przyjmowałam hrabiego Larrieux, a nade wszystko wyraźne wzbranianie się obchodzenia się z nim poufaléj, jak z przyjacielem, natchnęły go zazdrością i, wyznać muszę, sprawiedliwszą, jak kiedykolwiek przedtém. Jednego wieczora, kiedym szła do kościoła, aby się drugiémi drzwiami wymknąć, postrzegłam, że idzie za mną. Widząc, że mi nie podobna będzie ukrywać przed nim dłużéj moje wycieczki nocne, rozmyśliłam się pójść jawnie do teatru. Powoli nauczyłam się taić prawdziwe wrażenie, a przytém głośno udawałam podziwienie dla panny Clairon, którém mogłam zasłonić istotne uczucie moje. Odtąd byłam bardziéj ženowana; przymuszona miéć ścisłą na siebie baczność, nie tak żywo, nie tak szczérze się bawiłam. Atoli z tego położenia urosło nowe, nagle mię wynagradzające. Lelio mię widział, uważał; moja piękność uderzyła go, czułość moja była dlań pochlébną. Nie mógł odwrócić ode mnie swojego wzroku. Czasami wpatrzywszy się we mnie wpadał w roztargnienie, które publiczność gniewało. Wkrótce nie mogłam się już łudzić; Lelio był we mnie aż do szaleństwa zakochany.«

»Księżna de Vaudémont zdawała się zazdrościć mi mojéj loży; ustąpiłam jéj i wzięłam mniejszą, głębiéj i wygodniéj dla mnie położoną. Byłam tuż przy scenie; mogłam śledzić najmniejsze wejrzenie Lelia, a wzrok jego, niepostrzeżony od publiczności, mógł mnie szukać. Na resztę i bez tego środka mogłam się dowiadywać, że dzieli moje uczucia; w brzmieniu głosu, w westchnieniach jego piersi, w przycisku, z jakim niektóre wiersze, niektóre słowa wygłaszał, widziałam, że swoję namiętność ku mnie zwraca. Byłam najdumniéjszą i najszczęśliwszą z kobiét; w tych bowiem godzinach nie był on komedyjantem, lecz bohatérem, któregom kochała.«

»Tak upłynęły dwa lata, w których żywiłam i pielęgnowałam tajemnie i samotnie w głębi serca swego miłość, a potém trzy zimy w téj nieuleczonéj namiętności; a przecież ani mgnieniem oka nie uczyniłam mu nadziei, że oprócz téj szczéréj, tajemniczéj skłonności, coś więcéj ku niemu czuję. Wiedziałam teraz, że Lelio często mię śledził na przechadzkach, lecz nie chciałam, aby się mógł poszczycić, że go uważam i nad innych przenoszę. Z ośmiudziesiąt lat wieku mego to jedno pięciolecie wymienić mogę, w którém żyłam prawdziwie, żyłam z świadomością, że żyję.« (Dokończenie nastąpi.)

UWAGI
NAD RECENZYJĄ BALLAD J. K. PAJGERTA
w Czasopismie Naukowém lwowskiém. R. 1833, zeszyt szósty.

Autorowi, który nie pisze dla rozgłosu, bo gdyby go kiedy i zyskał, to żyje tak odosobniony od gwaru świata i dziennikarzy, że sam możeby nigdy o nim nie wiedział; autorowi, który nie pisze dla chleba, więc nie dba o to, czy jego pisma mają, lub nie mają odbytu; każda niesprawiedliwa recenzyja obojętną być musi: bo chociaż za nią pójdzie zwykle cały tłum nieoświéconych czytelników, cóż mu na tém zależy; wszakże jemu chodzi tylko o sąd czytelników znawców, a ci, aby ocenili, nie potrzebują przódy radzić się recenzyi. Z tych powodów zdaje się wszelka obrona przeciw recenzyjom nie potrzebną. Tymczasem jest pewien rodzaj czytelników, dla których koniecznie prawdę wykryć potrzeba. Témi są miłośnicy nauk i pięknéj literatury, którzy, nie stojąc jeszcze na takim stopniu wykształcenia, aby sami płody literackie oceniać mogli, uczą się o nich sądzić z recenzyj, nie pomnąc, że różnéj wartości są recenzyje, i że lepiéj iść za własném czuciem i smakiem, choćby jeszcze nie

)(2

zupełnie wykształconym, niżeli poddawać swój rozsądek pod prawidła zdań przewrotnych. Dla tych więc czytelników postanowiłem odstąpić od mego przedsięwzięcia nie stawania nigdy w obronie własnéj, i chcę wykazać w krótkości płytkość tak pochwał jak nagań rzeczonéj recenzyi:

Recenzent po nie bardzo zwycięzkiéj wycieczce przeciw Wojciechowi z Prokocima, przystępuje do uwag o balladach moich i zaraz w piérwszéj, Ezon i Matylda, znajduje uchybienia. N. p:

Str. 8. Słowik wiotkie porusza zawiązki.

»Jakie?« pyta recenzent; i po cóż ta ciekawość? cóżby mu przyszło z tego, gdyby się dowiedział, że to były zawiązki dzikiéj jabłoni, lub gruszy? czyliż taka rozwlekłość w opisach potrzebna do wydania zdarzeń Ezona i Matyldy?

Str. 9. Weźcie mnie ptaszki, i nieście pośpiechem!

»Przenośnia nadzwyczajna!« Prawda! dla pa. recenzeta, ale nie dla Matyldy, która, zjęta najżywszém uniesieniem, już przody anielskie kształty na wiew wiatru skłoniła, a w téj chwili w rączki klasnęła, i lekkim rzutem poskoczyła, jakby już lecieć chciała.

Str. 10. Niebotyczne grodzą mury.

»Co? klasztor?« Przebóg! nie klasztor. Ale czyliż pan recenzent tak krótkiéj pamięci, że już zapomniał przy drugim wiérszu co czytał w piérwszym? wszakże tam stoi wyraźnie:

Od wszelkich uciech wieczystym rozbratem
Niebotyczne grodzą mury.

W tém miéjscu czyni jeszcze recenzent następnjącą uwagę: *»Mówi się niebotyczne skały, niebotyczne dęby i t. p., ale o murach klasztornych na sążeń, choć na dwa wysokich, tego mówić nie można.«* Najsamprzód wyznać muszę, iż nie miałem tu w myśli muru, opasującego klasztor, ale sam klasztor, który, sądziłem, będąc murem, może się murem nazywać; powtóre, gdyby nawet mowa była o tym niższym murze, toż kiedy może być skała niebotyczną, mur na téj skale położony tém więcéj niebotycznym być musi.

Str. 12. Wraz się kwefami zasłonią.

»Zakonnice kwefów nie noszą.« Być może; ale któż tu mówi o zakonnicach? gdzie wyczytał recenzent, że Matylda i Gertruda były zakonnicami? Matylda była siostrą cesarza, którą on oddał w straż do klasztoru; Gertruda była jéj służącą. Matylda nie mogła być nawet zakonnicą, bo zawarła ślubne związki z Ezonem. Ach! panie recenzencie czytaj wćpan to przynajmniéj, o czém chcesz wyrokować, z lepszą uwagą.

Str. 13. Czyli ja tędy dobrym torem gonię.

»Nie gonił wcale Ezon, ale szedł powoli, a za nim na trenzli szedł bachmat zziajany.« Że szedł powoli, jest dodatkiem recenzenta, bo tego wyrażenia nie ma w całéj balladzie. To prawda, że właśnie w téj chwili nie gonił, nawet nie szedł, owszem stanąć musiał, mówiąc do Matyldy; ale gonił chwilą przedtém, nim się obłąkał w lesie; wszakże sam powiada:

Dzień trzeci pędzę po polu, po lesie.

Ale i teraz, chociaż na chwilę stanął, ma jeszcze spieszną przed sobą drogę; więc może powiedzieć: gonię. Następujący przykład może jeszcze lepiéj okaże śmiészność zarzutu recenzenta. Gdyby kto nieznajomą sobie okolicą jechał do Kulikowa, a po drodze stanął i spytał przechodzącego człowieka: »Dobrze ja tędy jadę do Kulikowa?« a ónby mu na to odpowiedział: »Ty nie jedziesz, ale stoisz.« Zawołałby nasz podróżny zapewne: »To prawda! ale ty, bracie, jesteś śmiésznym żartownisiem!«

S. 15. Lecz wprzód zaręczmy zachować niezłomnie
Wiarę w następnem przymierzu.

»Myśliłby kto, że tu dwaj królowie między sobą zawiérają przymierze.« Niktby tego myślić nie mógł, każdy widzi tu tylko Ezona i cesarza. Przytém uważać trzeba było, że to właśnie cesarz mówi te słowa, któremu taki sposób wyrażania się, bardzo naturalnie, mógł się stać zwyczajnym; nareszcie nie szło i tu o drobnostkę, kiedy cesarz gotów był oddać koronę, a Ezon siostrę cesarza zażądał w małżeństwo.

Daléj zarzuca mi recenzent, że nie wykazałem pomyłki Nougareta. Ja nie miałem nigdy w myśli pisać krytykę na jego dziełko; wymieniłem tylko źródło, zkąd balladę moję wziąłem. Nougareta czytałem mając lat 10, gdym się uczył języka francuzkiego; poźniéj w lat 10 napisałem niniéjszą balladę, a że już wtedy radziłem się i innych pism historycznych, to ztąd recenzent wnieść może, iż wojewodę reńskiego nie Ehrenfrojem, ale Ezonem nazwałem.

Ilnicza Łytkę bardzo niesprawiedliwie recenzent obdarza pochwałami; zaletę, którą mieć może, dzieli z lichémi częstokroć wiérszami; co zaś do obrobienia, jestto wcale mierna poezyja i w niczém nie lepsza od tak wielu spiewów historycznych Niemcewicza; a co się tycze liryczności, którą recenzent niby tu namacał, téj nie masz ani śladu.

Równie mało i jeszcze mniéj zasługuje na pochwały ballada: Dziécię i kluczyki. Wojciech z Prokocima bardzo ją trafnie ocenił, mówiąc: »Wadą jest jéj treść sama, myśl wymuszona.« Spodziewam się, że następujący rozbiór dokładniéj to wyjaśni.

W téj balladzie przedstawić miałem, że Malwinie cudem jéj dziécię przywrócone zostało; ale nie przedstawiam tego; zamiast bowiem przywrócenia jéj własnego dziécięcia, tworzę jakieś inne dziécię z kluczyków, które serca jéj zadowolić nie mogło. Wprawdzie mógłby recenzent na to powiedziéć, że Malwina, pomieszana, mogła nie dostrzédz tego przeistoczenia; prawda, ale go dostrzega uważny czytelnik i lituje się oszukanéj matki. A teraz widzi pan recenzent, że treść ballady może być jéj wadą? W zachwyceniu nad mniemaną pięknością téj ballady wykrzykuje nasz krytyk: »*Myśl wielka, bo jéj przedmiotem... Bóg.*« O! i ja wiém dobrze, że największą człowieka myślą, jest myśl o Bogu; i ja schylam głowę z Newtonem wymawiając to wielkie słowo! Ale dla wiadomości pa. recenzenta niech mi będzie wolno powiedziéć, że literatura wszystkich czasów i narodów przedstawia wiele lichych wiérszy, chociaż przedmioty były prawdziwie wielkie!

W balladzie Idel i Seran radzi recenzent odmienić wiérsze:

Prąd ryczałtem szturm przypuszcza.

mówiąc: »*Użylić słowa: ryczałt, Kniaźnin i Przybylski, ale nie przy prądzie, który właśnie to samo oznacza.*« Użył wyrazu: ryczałt, nie równie większy od obu poeta, użył go Mićkiewicz. Ryczałt, znaczy wszystko razem; prąd zaś znaczy wcale co innego. Sądzę, że recenzent miéć musi słownik Lindego, a choćby go umieścił na najwyższéj pułce, toż warto było dla własnéj nauki przystawić sobie drabinkę i zajrzéć do niego. Ja, nie mając tego słownika pod ręką, muszę przytoczyć Klonowicza, który pewnie umiał mówić po polsku. We Flisie powiada:

Drzewa, które się już rozstało z lądem,
Już drzewem nie zów, ale je zów prądem.

W balladzie Ś. Jan z Kent, zarzuca mi recenzent, że się nie zupełnie zgadzam z historyją. Najsamprzód nie jest koniecznym obowiązkiem poety zgadzać się z historyją, może od niéj odstąpić, jeżeli ma do tego powody. Powtóre, przyznać się muszę, że nie będąc uczonym z profesyi, nie czytuję starych kronik, a jeszcze *in folio*; tak więc i Miechowity dotąd nie czytałem i czytać nie będę. Pan recenzent radzi teraz, aby balladę przerobić; ja mu bardzo dziękuję za jego życzliwą radę, ale nie mogę tego przódy uczynić, aż nam wykaże, coby na tém ballada moja, pod względem poezyi, zyskała.

W balladzie Hrabina i jéj dziécię, wytyka recenzent niewłaściwość niektórych wyrazów np: Str. 49. ....ból się przetrawił,

Lecz ciałka budowę ruiną zostawił:

»*Wziawszy za ruinę nasze gruzy lub zwaliska, trudno powiedziéć, że dziécię konające przedstawia gruzy, lub zwaliska budowy.*« Podług mnie i zapewne wielu innych zniszczenie każdéj symetryi, każdego porządku, może być przyrównaném do gruzów lub zwalisk gmachów; bo i te są niczém innem, jak tylko zniszczoną symetryją architektury. Prawda, że zewnętrzna budowa konającego dziécięcia nie przedstawia podobnego widoku, ale tém bardziéj przedstawia go budowa wewnętrzna; chorobą, gangreną strawione wnętrzności, zniszczony pierwotny porządek natury, zkąd jedynie, przynajmniéj w wieku dziecięcym, śmierć przypada, śmiało do ruin gmachów przyrównać można. A czyliż poeta przedstawia tylko rzeczy powierzchowność, którą kiedy widzi, widziéć musi? o nie! on dopiéro wtedy wart imienia tego, gdy mu dozwolono patrzéć w niebo, patrzéć w piekło; kiedy dla niego, jemu zaślubiona, natura żadnych nié ma tajemnic. Daléj do wiérsza:

Za smyczka raźniejszem biciem.

Powiada recenzent: »*Wszak smyczek nie bije skrzypców, ani się też nim bije, ale suwa.*« Tu musimy się obadwa odwołać na biegłych skrzypków; niech powiedzą, czyli nie muszą, dla wydania pewnych tonów, lekko rzucać, trącać smyczkiem po strónach, w tym wy-

padku smyczek udérza, czyli bije strony. Ale nareszcie czy bije, czy nie bije, ja nie mogłem położyć, jak chce pan recenzent:

Za smyczka raźniejszém suwaniem.

bo takiém wysłowieniem byłbym zepsuł całą żywość wiérsza, który tu żywszą muzykę naśladawać powinien.

Na takie dowolne i ogólne, żadnym dowodem nie wsparte nagany, jakie recenzent daje balladzie: Hrabia Szorsztyn, najlepszéj z moich wszystkich i wcale niepowszedniéj*, mówiąc n. p. »*wspaniale, dodane dla rymu,*« tu znowu »*rym niewolniczy,*« tam »*wyrazy naciągane*;« na takie, mówię, ogólne zdania, nié mam co powiedziéć, jak tylko, że takim stylem wszystko zganić można. I tak np: możnaby powiedziéć na prawdziwie piękne wiérsze Mickiewicza, gdy mówi o obłoku:

Widziałem z twarzy, co ón w sercu knował.

to wyrazy naciągane! to dla rymu! bo obłok ani twarzy, ani serca nié ma. Eheu! eheu!

Tamże powiada recenzent do wiérszy:

Miła i hoża, jakby z pudełka,
Aż w gębie nabiéra ślinka.

»*Kiedy ślinka nabiéra, to się spluwa,*« a może się połyka! Jest nawet idyjotyzmem polskim, mówić o tym, którego próżne trawi pragnienie: darmo połyka ślinkę. Ale nasz recenzent, nie dosyć, że nam ślinkę spluwać każe, chce nas jeszcze nauczyć, gdzie ją spluwać mamy i powiada: »*A spluwa się na rzeczy lub osoby niegodne widzenia.*« Uchowaj Boże! panie recenzencie, nigdy na osoby, choćby nawet były największymi zbrodniarzami. Ale pan recenzent chciał pewnie coś innego powiedziéć; źle się tylko wyraził.

Daléj osądza recenzet wiérsz cały:

Str. 73. Ja się rozumem nie szczycę.

chociaż się dobrze zastanowił, za nie potrzebny i chyba tylko dla rymu położony. Osobliwsza rzecz! w żadnéj innéj balladzie nie znachodzi recenzent słowa jednego dla rymu położonego, a w téj, najpoźniéjszéj ze wszystkich, kiedy autor naturalnie więcéj wprawy nabyć musiał, w téj mówię, natrąca mu się wiérsz cały tylko do rymu położony. Niechże pan recenzent pozwoli sobie zagadkę tego wiérsza wytłumaczyć. Kiedy kto nieproszony chce komu dawać swoję radę, sama delikatność każe mu niejako uniewinnić tę wyższość rozumu, którą, naturalnie, dający radę sobie przysądza; zaczyna więc zwykle, np: Ja sobie wprawdzie nie przysądzam więcéj rozumu, lub dowcipu, lub biegłości; jednak mnie się zdaje i t. d. W podobném położeniu, zamyślając dać radę paniczowi, powiada Szorsztyn:

Ja się (wprawdzie) rozumem nie szczycę.

tylko że te słowa jego są ironiją, i to nawet dla każdego, prócz recenzenta, dosyć jasną.

Sąd o téj balladzie zamyka recenzent témi słowy: *Nie jest więc doskonałą, ale i tak należy do niezłych.*« Czytając z początku, że *nie jest doskonałą*, pomyślałem sobie w duchu z wielkim tryumfem: aha! więc musi być bardzo dobrą, kiedy recenzent widzi potrzebę zapewnić czytelnika, że *nie jest doskonałą*. Ale, niestety! jakżem się oszukał, czytając daléj, że *należy do niezłych*, lubo sam nie wiém dobrze, co właściwie znaczy ten dwuznaczny wyraz. Wszakże recenzent obowiązał się we wstępie, str. 43, *powiedziéć tylko, co dobre, a co złe;* pod którąż z tych dwóch kategoryj mamy położyć wyraz: *niezłe?*

Ballada Pogoń musiała się najwięcéj podobać naszemu recenzentowi, bo usiłuje okazać, że nie jest płodem oryginalnym, ale naśladowaniem Bürgera, a to dla tego, że tu i tam goni kochanek za kochanką, tu i tam goni na koniu, jak gdyby mógł z nich który gonić na ośle. Tym sposobem i ballada Bürgera będzie naśladowaniem Aryjosta, u którego Roland goni za Angeliką, i to nawet na koniu! Mnie się zdaje, kto chce oceniać poezyją, niech wprzód wniknie w jéj ducha. Duchem ballady Bürgera jest satyra na wierność kochanki, bo Bruno więcéj znalazł wierności u brytanów swoich, niżeli u niéj; duchem zaś ballady mojéj jest nauka pustelnika, aby nie gonić zbiegłéj kochanki, bo chociaż się ciało uchwyci, już się miłość nie wróci. W téj balladzie radzi mi jeszcze recenzent odmienić wiérsz: Zbiegłéj duszy nie złowisz.

Na: Zbiegłego serca nie złowisz.

* Warto było powiedzieć, dla czego *przedmiot dosyć powszedni.* Przedmiotami powszedniémi zwykli nazywać estetycy takie, które już od bardzo wielu poetów obrabiane były, tak, że już nic nowego dodać nie można; albo takie zdarzenia, które nam się zbyt często w życiu na oczy nasuwają, więc równie wdzięku nowości mieć nie mogą. Ale ani jednego, ani drugiego o téj balladzie powiedziéć nie można; owszém, ta właśnie, i Hrabina i jéj dziécię, odznaczają się najwięcéj z moich wszystkich nowością pomysłu.

„bo serce, powiada, *siedliskiem miłości."* Czy wié to pan recenzent z pewnością? ma na to dowody, i jakie? pomyślił pan rencenzent, że są różne rodzaje miłości: do kochanki, do kraju, do Boga; czyliż te wszystkie rodzaje mają siedlisko w sercu? a kiedy człowiek nmiéra i dusza rozstaje się z ciałem, czyliż powraca do Twórcy swego bez miłości, czyli wyjmuje ją przódy z serca? Mamyż miłość przysądzić i źwierzętom? wszakże one mają naszym podobne serca, które te same funkcyje odbywają. Recenzent mówi daléj: *„Dusza zbiegła śmierć oznacza."* Ależ bo znowu serce zbiédz nie może; a gdyby mogło i zbiegło, śmierć równie nastąpićby musiała. Ach, panie recenzencie! jakże ci się twoja poprawka nie udała! Ja tylko dodać jeszcze muszę, że właśnie nie mógłem tu użyć innego wyrazu, bo powiedziawszy w piérwszym wiérszu:

Za chwilę małą, ucbwycisz ciało,

musiałem w drugim położyć wyraz ciału przeciwległy, a tém jest, dusza. Serce jest także ciałem. Że tutaj dusza miłość oznacza, to chyba tylko dla recenzentów komentować trzeba. O jak sprawiedliwie powiedział uczony Heeren: *Ich habe aber auch die Erfahrung gemacht, dasz man für jeden gebildeten Leser und Leserin klar und deutlich schreiben kann, aber darum nicht für die Kritiker.*

Po tak szczególnym rozbiorze recenzyi wypadają wnioski ogólne:

a) Że recenzent przedsięwziął pisać tę krytykę więcéj dla sprzeciwienia się zdaniom Wojciecba z Prokocima, niżeli się starał odkryć istotne nchybienia w rzeczonych balladach.

b) Że recenzent nie ma jasnego wyobrażenia, co jest przedmiot powszedni, a co nowy, co jest myślą oryginalną, a co naśladowaniem; słowem, że recenzent o płodach poetyckich sądzić nie nmié.

c) Poradźmy więc jemu, aby porzucił już na zawsze krytykowanie; wszakże w innycb wydziałach zasłużył się chlubnie i literaturze i krajowi; dał dowód, że może pisać dzieła dosyć nczone i pożyteczne: ale o poezyi niech nie sądzi, bo ku temu ani potrzebnych wiadomości, ani dosyć smaku, ani nawet dosyć szczérości nie posiada. J. K. PAJGERT.

— Ze Lwowa. —

Do gruzów dawnycb grodów kraju naszego należą także ruiny zamku Melsztyna, przy miasteczku Zakliczynie, w obwodzie Bocbeńskim. Podług niektórych miał go Spytek czyli Spicymir, hrabia niemiecki z za Renu, z królem polskim Władysławem Łokietkiem r. 1330 przybyły, zbudować. Inni piszą, że już Kunegunda, córka króla Belli węgierskiego, a żona Bolesława Wstydliwego, po śmierci męża swego w nim mieszkała. Zamek ten pyszny i wspaniały niegdyś, czego jeszcze ślady pozostały, gniazdo Tarnowskicb, Tarłów, Zaklików i Jordanów, zburzony został w czasie ostatniéj konfederacyi.

W bliżkości Horodenki, w obwodzie Kołomyjskim, ma się kamień znajdować z następującym napisem ruskim: *Tu odpoczywajet rab bożyj Nyczaj.*

Hocnłowie, górale ruscy Karpatów naszych, zamieszkujący na Pokuciu ścianę Tatrów od Polski, przyległe góry od granicy węgierskiéj, a na wschód rozciągający siedziby swoje aż ku Bukowinie, wyprowadzają nazwę od koczułów czyli koczowniczych Sławian. Nie pomieszani z innémi plemionami, zachowali prawdziwe znamiona i rysy Sławian. Noszą siermięgi ciemno-rudawego koloru własnéj roboty, które *bundami* zowią, kapelusze czarne stroją czerwonémi wstążkami. Między ich kobiétami znajdzie wiele rzadkiéj piękności, jakoteż obie płci wyszczególniają się, jak zwyczajnie górale, dzielnego składu budową. Toporek jest nieodstępnym towarzyszem Hocuła; za jego pomocą drapie się po górach i skałach, zręcznie podrzuca go w tańcu, na weselu zaś ucina pan młody śród tańca oblubienicy swojéj warkocz toporkiem. Warkocz ten przymocowany jest do gwoździa, a zręczniéjsze, lub mniéj zręczne onegoż odcięcie, jest wróżbą przyszłości dla młodéj małżonki. Hoculowie trudnią się przyrządzaniem nabiału, ich *bryndza* rozchodzi się po całym kraju, ich *żentyca* nie jednego słabego uleczyła, którego lekarze wyprawiali do gór ich po zdrowie. Zwyczajném ich pożywieniem jest sér, mléko, kartofle, placki owsiane, ryby i zwierzyna. Na targi przybywają do Kutów, Kołomyi, Tyśmienicy, Bohorodczan, Łyścia, Kałusza i Stryja. Do znaczniéjszych rzék, pomiędzy wieln mniejszémi, w ich górach płynącemi, liczą Prut, Bystrzycę i Czeremosz, którego ostatniego wodospady równają się pięknością wodospadom Renu pod Szafhuzą; témito rzékami spławiają klepki, drzewo i wyroby drewniane. Wyznają religiją grecko-unicką, zostają pod władzą wójtów, których *wataszkami* zowią i mówią językiem ruskim, mieszając wiele polskich, węgierskich, wołoskich, a nawet niemieckich wyrazów. Zajmują przestrzeń do 20 mil wzdłuż, a na 3—4 mil wszerz pasma gór karpackich. Ich ludność wynosi przeszło 30,000 dusz. Łukasz Gołębiowski, wspominając o nich w dziele: Lud polski (1830) pisze, iż roku 1820 żył w jednéj ich osadzie starzec, nazwiskiem Garach, mający 85 lat, który bogobojnością i cnotliwém życiem tyle zjednał sobie miłości i zaufania u swoich ziomków, że w rzeczach większéj wagi i we wszelkich zatargach do niego się powszechnie udawano. Całe życie poświęcił ón posłudze współbraci, chata jego była przytułkiem nieszczęśliwych, a posiadając dokładną znajomość użycia roślin, pomagał na różne słabości. Gdy umarł, zebrani z okolic poblizkich Hoculowie oddali ostatnią posługę zmarłemu i na grobie jego wznieśli na wieczną pamiątkę kopiec z kamieni.

W czasie, kiedy zaczęły się zapusty i tysiące mazurów przetańczonych zostanie, przytaczamy dla czytelniczek naszych, które są miłośniczkami tego tańca, zdanie o mazurze, napisane przez T. Bułharyna, jednego z najznakomitszych autorów Rossyi: „Polska (mówi Bułbaryn) jest ojczyzną mazura, tego prawdziwie rycérskiego tańca. Nie można dosyć nacieszyć się wdziękiem ruchów osób tańcujących. Dusza w całéj pełności życia udziela się członkom, duch rycérski kieruje popędem mężczyzny, miłość i wdzięki przewodniczą kobiécie. Jak zachwycająca rozmaitość: bystrym polotem, śmiałą postawą, silném uderzeniem nogi popisuje się mężczyzna, delikatném spojrzeniem, zręcznym i lekkim zwrotem kobieta. Piękność zdaje się być branką rycerza, obchodzącego zwycięztwo, a zarazem hołdującego wdziękom zwyciężonéj. Taniec w Polszcze jest pantomimiczną, niemą rozmową serca. Patrzący towarzyszy ogólnéj radości, wzrok jego i serce dąży za tańcującémi." — U naszych dziadów oprócz polonesa, mazura, krakowiaka, były także inne tańce, jakoto: kozak, byczek, suwacz, saraband, draband i t. p. Nie umiano tak sztucznych kroków, tak wykwintnych figur, jak teraz, ale tańczono może z weselszym umysłem i z radośniéjszém sercem!

Z Warszawy. Noworocznik tutéjszy, zawiérający znanych autorów artykuły wiérszem i prozą, przyozdobiony jest bardzo piękną ryciną jednego z najznakomitszych artystów polskich, Antoniego Oleszczyńskiego, wyobrażającą ruiny zamku przez Kazimiérza W. w Kazimiérzu-Dolnym, województwie lubelskiém, wystawionego. — W Wilnie wyszedł także Noworocznik, już dawno zapowiedziany, przez Józefa Krzeczkowskiego, pod tytułem: Znicz (święty ogień Litwinów).

Z Krakowa. Gazeta tutejsza zaczęła od nowego roku dołączać co tydzień Rozmaitości, pismo literaturze poświęcone. — Wydany tutaj Kalendarzyk polityczny na r. 1834 mieści między innémi: „Rys historyczno-topograficzno-statystyczny w. m. Krakowa i jego obwodu."

Z Pragi. Pan Wacław Hanka przełożył na język czeski pieśni ludu polskiego ze zbioru Wacława z Oleska, i drukiem je ogłosić zamyśla. Poźniéj ma się zabrać do przekładu piesni ruskich tegoż zbioru.

Piszą z Belgijum, że znany autor polski Joachim Lelewel, który teraz bardzo prywatnie w Bruxelli mieszka, zajmuje się wydaniem dzieła numizmatycznego, do którego pod jego okiem ryto tablice na miedzi.

Na wzór dziennika *Magasin pittoresque* wychodzi w Paryżu: Magazyn polski, wydawany w języku polskim przez Bossange z rycinami. Jestto pismo ściśle literackie, które żadnych politycznych artykułów umieszczać nie będzie.

* * *

W połowie grudnia roku zeszłego wyszły w Petersburgu w trzech tomach poezyje Elżbiety Kulmann, dziewicy zmarłéj w 17tym roku. Wydaniem dzieła jej zajmowała się akademija cesarska. W przemowie znajduje się opis życia téj tak zawcześnie zmarłéj rymotworki, którego nikt zapewne bez rozrzewnienia nie odczyta. Elżbieta Kulmann już w 9tym roku życia swojego wyszczególniała się z pomiędzy innych trzema rzadkiemi przymiotami, to jest: fantazyją prawdziwie poezyjną, zadziwiającą władzą pojmowania rzeczy i bezprzykładną pilnością. Nauka języków należała do jéj ulubionych zatrudnień, lecz przede wszystkiem zwracała uwagę na piękności dzieł poezyjnych innych narodów. Już w 14tym roku czytała w oryginale najznakomitsze dzieła pięknéj literatury starożytnéj Grecyi i Rzymu, niemieckiéj, włoskiéj, francuzkiéj, hiszpańskiéj, angielskiéj, portugalskiéj i nowo-greckiéj. Wybornie przełożyła Anakreona na język rossyjski, który przekład znajduje się w zbiorze jéj poezyi.

Poseł Achmed pasza, posłany od wysokiéj porty do Petersburga, powiózł cesarzowi Mikołajowi rzadkiéj drogości dary. Sam rzęd na konia cesarskiego kosztuje więcéj jak 200,000 talar.; oprócz tego jest przeznaczonych dla cesarzowéj dwanaście naramienników, z których każdy dwudziestą prepysznémi dyjamentami ozdobiony; wreszcie 20 koni arabskich dla cesarza, a dla cesarzowéj 120 szalów kaszemirskich. Najważniéjszym atoli darem jest oręż cesarza Konstantyna, ostatniego Paleologa, którego rękojść i pochwa, niegdyś dyjamentami osadzone, teraz na rozkaz sultana podobnémi ozdobione zostały.

Ces. ros. radzca stanu dr. Roos pisał nie dawno do przyjaciela swojego w Rzymie, że w majętności pa. Demidoff w Syberyi, gubernii permskiéj, w Niszym-Tagilu, znaleziono platynę w matrzycy (rudzie pierwotnéj). Posłano próby téjże do Petersburga, gdzie pod najściślejszy poddano ją rozbiór i ten ztąd wyprowadzono wniosek, że platyna, o której nie wiedziano dotąd z czego się tworzy, powstaje w kamieniu serpentynowym. — Ta wszystkich mineralogów bezwątpienia obchodząca wiadomość umieszczona była w *Diario di Roma*, a ztamtąd przeszła do innych dzienników.

Król jmść pruski przesłał panu Adolfowi Bermann, dyrektorowi drukarni serbskiéj w Belgradzie, jako dowód swojego zadowolenia, za próby tegoż druków serbskich, wielki medal złoty, wraz z własno-ręcznym listem pochwalnym.

Dzienniki francuzkie zapewniają, że od nowego roku 1834 zniesiono publiczną dzierżawę domów gier hazardowych w Paryżu. Dzierżawcy, mający kontrakt na lat kilka, dostaną wynagrodzenie. Ludzkość cieszyć się powinna tym postępem cywilizacyi!

W wyszłém nie dawno w Paryżu dziełku: *Remarques relatives à la physiognomie*, uczony jego autor poważnie utrzymuje, że najpewniejszym znakiem trwałości życia ludzkiego jest długość nosa, która w ścisłym stosunku zostaje z ciałem. Im bardziéj ta część ciała jest wydatna, tém dłuższém też bywa życie jéj właściciela. Badacz nasz wyprowadza ten wniosek z postrzeżeń, czynionych nad długością dzioba ptaków, z których papugi, kruki, sokoły, bociany i t. p. zwykle najdłużéj żyją i stwierdza zdanie swoje długim spisem ludzi z wielkiémi nosami, którzy doszli poźnéj starości. Najwięcéj, zdaje się, dostarczały mu postrzeżeń nosy starców, utrzymywanych w paryzkim szpitalu inwalidów. — Czytając to w dziennikach, mimowolnie nasuwa się nam na myśl owo tak bardzo trafne zdanie starego Szekspira: że nić ma tak dziwnéj rzeczy na świecie, któréjby filozofowie nie utrzymywali.

W Paryżu wychodzi dziennik dla panien *(Journal des Demoiselles)*; dla więźniów, siedzących za długi w sławnem St. Pelagie, ażeby czytaniem nudę rozrywali; a nawet dla dzieci przy piersiach *(Journal des enfans a la mamelle)*. P. Clement Zuntz, podpisujący się *homme de lettres et de tabac*, wydaje tamże pismo czasowe: *L'anti-tabac*, w którém, na przekorę wszystkim tabacznikom, na zażywanie tabaki powstajc.

W towarzystwach dobrego tonu w Londynie zaprowadzono szczęśliwą odmianę w biletach zapraszających na obiad. Najlepszą potrawę, jaka ma być na obiedzie, wyobrażają na bilecie: czyto ryba, czy źwierzyna, czy jaka inna smaczna potrawa. Zaproszona osoba może więc wiedzieć, na co z apetytem ma się przygotowywać i czy w guście jest dla niéj obiad, na który ją zapraszają. Te rysunki potraw wykonywa sławny rytownik Newton Fielding, wyszczególniający się w tym rodzaju rysunków.

Pewien lekarz angielski mniema, że kozy byłyby bardzo dobre do karmienia tych dzieci, których matki karmić nie mogą, lub które matki utraciły. Kozy dają się łatwo ułaskawiać, są pojętne i po ich przywiązaniu do zwierząt, które karmią, wnioskować można, że i do dzieci przywiązane będą. Koza powinna kłaść się do karmienia, a dziecko, przyzwyczajone do niéj, samo pragnie dostać się do swojéj karmicielki i ssać pierś. Nauczona koza biegnie na zawołanie i głód dziécięcia zaspokaja, a pokarm taki ma być bardzo zdrowy dla dzieci.

Dziennik, wychodzący w Oxforcie w Anglii, zaleca następujące postępowanie, ażeby przeszkodzić kwaśnieniu piwa: Kulę marmurową, zawleczoną na cienkim sznurku nicianym, należy przez dziurę w beczce wpuścić aż na dno. Ponieważ kula taka składa się z czystego kwasu węglanego wapna, zatém kwas piwa w takim stosunku działa na marmur, w jakim sam powstaje, i przez to działanie zapobiega się rozszérzaniu kwasu, a w ogóle zupełnemu kwaśnieniu piwa. Czyniący to doświadczenie wyjął z piwa kulę znacznie kwasem nadpsutą, ale piwo aż do ostatniéj kropli było zupełnie świeże i dobre.

MODY. Bale rozpoczęły się w Paryżu, a z niémi mody na tegoroczne zapusty. Już piérwéj, w połowie zeszłego miesiąca, pojawiły się niektóre nowości w modach na przedstawieniu baletu *Revolte au serail*, na który z wielkim przepychem wystąpiły damy. Ubraniem głowy na balach są czépeczki, lub małe obwiązki z marszczonego aksamitu, ozdobione piórami, kwiatami, a często rajskim ptakiem. Turbanów bardzo mało widać, a baretów całkiem już nie noszą. Ubranie głowy panien mniéj teraz już wykwitne jak piérwéj; miasto wysoko napiętrzonych włosów, okręcają w kółko warkocze, tak, ażeby włosy najmniéj odstawały od głowy. Klamry przy pasach wyszły już z używania, a ich miéjsce zastąpiły zameczki. Kwiaty zdobią zwykle małémi hiszpańskiemi muszkami, które przy świetle, jak dyjamenty, błyszczą. Puch łabędzi jest futerkiem najwięcéj poszukiwaném. Mnóstwo nowych materyj na suknie wynaleziono w Paryżu: brokat jedwabny, czarny lub ciemny na dnie, z kolorowémi kwiatami albo gałęziami; atłas w kolory na białém dnie, lub w białe pasy na kolorowém; *satins Vesuve*, rodzaj materyj, na któréj w desenie słupy dymu w rozmaitych odcieniach, żarząca się lawa i tym podobne własności Wezuwijusza wyrobione; na suknie balowe gaza w paski, lub w szachownicę i t. p.

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.